Ner 13. Kraków, 1go Kwietnia. 1862.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	6 zł. —	c. w. a.
Półrocznie .	3 „ —	
Kwartalnie .	1 „ 50	„ „ „
Miesięcznie .	— „ 50	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	10 zł. 20	c. w. a.
Półrocznie .	5 „ 10	„ „ „
Kwartalnie .	2 „ 55	„ „ „
Miesięcznie .	— „ 85	„ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi

Bez mód:

Rocznie . .	7 zł. 20	c. w. a.
Półrocznie .	3 „ 60	„ „ „
Kwartalnie .	1 „ 80	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	11 zł. 40	c. w. a
Półrocznie .	5 „ 70	„ „ „
Kwartalnie .	2 „ 85	„ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.

Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 4 cent., nastepnie po 2 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stempel rządowy.

Listy i przesyłki pieniężne należy frankować i adresować do Redakcyi Niewiasty w Krakowie.

Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

O WYCHOWANIU,

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Zob. r. 1861 Nr. 1, 2, 4, 7, 15, 21, 22 i 42; r. 1862 Nr 4).

Utrzymują, że pomiędzy kobietami szczera, prawdziwa a stała przyjaźń istnieć nie może. A dla czego?... Bo uczucie zazdrości niszczy jej zbawienne zarody, i chwilowe ciepło serca, zmrożone tym podmuchem nieszczęsnym jednej z najstraszniejszych namiętności, wyradza się niekiedy w nienawiść zawziętą, w nieprzyjaźń ostateczną — a nawet i w zemstę. Utrzymują także, że w kobiecie łacniej wyrodzi się uczucie zazdrości, aniżeli w mężczyźnie!

Wytępić przeto od razu potrzeba w dziecku i najlżejszy, choćby cień cienia — objaw zazdrosnego uczucia. A widzimy niekiedy, że wcale przeciwnie się dzieje: jak niańki, piastunki, służące drażnią dzieci umyślnie: że siostrzyczka lub inne dziecko, ładniejszą ma sukienkę, barwne bóciki, albo czerwone korale. Czynią to pewnie nie przez złą wolę, ale dla *jakiejś* zabawki własnej, a czasem — jeżeli są próżne — by dziecię na matce krzykiem i grymasami ładniejszej wymogło sukienki, gdy im chodzi o strojniejsze ubranie pieszczotki, ich piastuństwu oddanej, która dla nich staje się *lalką*. Kobiety podobne nie mają pod tym względem rozwagi żadnej, nie myślą nad tem co czynią, i nie widzą, ani przypuszczać potrafią dalszych następstw i skutków. A matki — powiedzmy, także mniej na to zważają, i nie sądzą, by z tak maleńkiej iskierki żar jaki mógł się rozniecić, lubo, że tak bywa niestety! — W skutek takiego drażnienia wyradza się często i brak przywiązania pomiędzy rodzeństwem, poddmuchnięty nasamprzód przez nieoględne piastunki. A jeszcze, gdy dziecku poszepną: „mama bardziej kocha siostrzyczkę, albo braciszka, aniżeli ciebie!“ — bo i to już bywało, i twierdzenie na doświadczeniu opieram, straszliwa boleść przejmie wtedy serce dziecka, i zapuści korzenie swoje na całe nieraz życie.

Wstążeczka, sukienka, kapelusik, zrywały już nieraz pomiędzy dziewczątkami zawięzujące się uczucie przyjaźni, jeżeli szkodliwa namiętność zazdrości tłumioną z dzieciństwa nie była. A zamieni się pewnie w nienawiść, jeżeli nauczyciele jednemu większą od drugiego okażą przychylność; jeżeli pochwała bywa czasem niezupełnie sprawiedliwą, bo dziecko to uzna, przeniknie, poczuje — przejmie się goryczą — i pozazdrości. Gorzej jeszcze, gdy matka, w obec jednej córeczki; unosi się nad *pięknością* drugiej, a tej przygania.

Dziewczynka, dojrzewać zaczynająca, pozazdrości rówienniczkom swoim wszystkiego: jednej włosów, drugiej płci białej, trzeciej kibici i t. p. — i nienawidzi je. Pochwali ktoś przyjaciołkę z piękności, z talentu; zazdrosna, jeżeli nie podoła zaprzeczyć, to zawsze jakieś wielkie wynajdzie: *ale* — a wreszcie rzuci się do obmowy, kłamstwa i potwarzy. Przyjaciołkę zaś radaby przekonać, że czynione jej grzeczności *drwinkami* są raczej, a niesione jej pochwały *ironią* tylko.

Gdy wnijdzie w świat, uczucie to coraz niebezpieczniejszych nabiera rozmiarów — zwłaszcza też w obec młodych hołdowników, bo wówczas roznieci się obok pozazdroszczenia uwielbiań, okazanych rówienniczkom, i żądza przewyższenia tamtych wdziękami: zalotność — *kokieterya*, która po najfatalniejszych prowadzi manowcach.

Pani X. wylała całą filiżankę kawy na piękną lilla suknią sąsiadki swojej — i wszyscy obecni szeptali sobie z uśmiechem, że to zrobiła umyślnie, zazdroszcząc pięknego ubrania. Znaną była jako strojnisia i rozmiłowana w bławatach wszelkich; twierdzono, że aż pożółkła, ujrzawszy na kim innym tę śliczną lilla morę — i gadka o tej polanej kawą sukni długo po sąsiedztwie krążyła. — „Otóż to!“ — wołali mężczyźni — „coś podobnego praktykuje się tylko pomiędzy kobietami!“ —

Pani XX. śliczny miała czepeczek, a nie chciała przyjaciołkom udzielić wykroju tego zgrabnego nagłowia, także przez rodzaj zazdrości jakiejś. Pani XXX. nie mogła strawić tej odmowy, wykroiła więc coś podobnego, przybrała takiemiż wstęgami, i ustroiła tem dziełem swojem brzydkiego kądła, który z nienacka zaprezentował się pani XX. Powstały ztąd wielkie gniewy i obrazy, a mężczyźni zawołali znowu: „Na takie koncepta tylko kobiety zdobyć się mogą!“

Jakże to często słyszymy, że w *doskwieraniu*, w *kaleczeniu* dotkliwie, zjadliwie, kobiety szczególniej są umiejętne — i dla tego w takich razach *żmijkami* nazwane. Och, smutna to, wstrętliwa, straszna umiejętność, od której zachowaj nas Panie!

Drobne, więcej śmieszne tylko, są powyżej przytoczone przykłady; ale niestety, bywają to i inne wcale, o których słyszymy nieraz! — wylęgłe z nienawistnej zazdrości.

Zazdrość i nienawistne uczucia nie są naprawdę wrodzone niewieście. Bóg stworzył ją, jako istotę głównie *sercem żyjącą* — która nieść winna raczej miłość, życzliwość, pociechę, harmonię, wdzięczny uśmiech i łzę współczucia; stworzył ją z duszą, pragnącą łagodzić cierpienia — nie zaś, by dodawać je miała. Jakżeż więc istota *sercem żyjąca* może znajdować zaspokojenie żądzy

wewnętrznej w dokuczaniu drugim; w ranieniu, kaleczeniu, sprawianiu gorzkiej boleści? A biorąc ze strony rozumu i rozwagi: jakiż skutek odniesie takie kaleczenie złośliwe, dogryzanie namiętne, ranienie?... Gorycz we własnej duszy, i wstyd. Zazdrość zmysły omamia, zazdrość wynaturza — a zatem i zastanowienie odbiera.

Wychowanie troskliwe i baczne w najpierwszym zarodzie wszelkie wady i złe skłonności, jeżeli nie wytępić, to zawsze złagodzić potrafi. Ale jakiejże to baczności wymaga — jakiego trudu i miłości, poświęcenia?

Przyjaźń w głębszem znaczeniu tego wyrazu, a nie to, co w zwyczajnem życiu nazywamy przyjaźnią—nader rzadkiem a bardzo wielkiem jest dobrem. Ale bywały już przecie piękne i podniosłe przykłady przyjaźni prawdziwej. Potrafi i niewiasta być przyjaciółką — bo upragnionem jest i dla niej to ciepło serca błogosławione a trwałe: więcej go nawet potrzebuje od mężczyzny! — Niewiasta mniej potrafi żyć sama dla siebie, a bardziej potrzebuje przyjaznej zwierzać się istocie w każdej życia doli: dla niej radość jest bezbarwną, jeżeli jej podzielać nie może; a tęsknota, łzy smutku i boleści łagodnieją, gdy na życzliwem ramieniu oprzeć się może. Mężczyzna potrafi być samotnikiem — kobieta nigdy! Chyba, gdy się wyrzecze danych jéj własności, a są to zawsze istoty *fenomenalne*.

Książę *Pückler-Muskau*, w pamiętnikach swoich, opowiada o przyjaźni prawdziwej, bez granic — dwóch kobiet. Były to dwie panny, Angielki, (nazwisk nie pamiętam), które jakoby *siostry ślubne* żyły tylko dla siebie. Mieszkały w jednym domu na wsi, i wszystko było im spólne: każda rozrywka, każde zajęcie, wesele i smutek; nie rozłączyły się nigdy, i były szczęśliwe prawdziwie. Książę, podróżując po Anglii, odwiedził je umyślnie, i uniósł z sobą wielki szacunek dla nich i nader przyjemne wrażenie. Znać nie zazdrościły sobie nigdy niczego!

JADWIGA,

KRÓLOWA POLSKA.

Wstęp.

Jako lilia biała, zakwitająca na gruzach przeszłości naszej; jako kwiat niewinności, słodką rozkoszą upajający zbolałe serce człowieka, ukazuje się nam wzniosła, spokojna, poważna i poświęceniem gorąca, ta królowa nasza najlepsza, ta niewiasta najszlachetniejszych uczuć, a ukazuje się nam z całą miłością dla naszego narodu, z niepożytym pomnikiem zasługi swojej, i niczem nie pokalaną wielkością duszy natchnionej. Jadwiga, to wzór cnoty i miłości rodzimej, wzór po Bogu wychowanej i Jemu życie poświęcającej niewiasty — wzór poświęcenia i najszczytniejszych uczuć dla narodu.

Taką ją wyobraziliśmy sobie, gdy się do jej monografii zabieramy. Taką wyobrażał ją sobie naród cały, gdy u stóp jej złożył niekłamane hołdy swej czci i uwielbienia dla niej—a jeżeli temu lub owemu piszącemu podobało się czasem zedrzeć z tej świętej polskiej postaci wzniosłą szatę uroku, z jaką sobie i u Boga na upodobanie zasłużyła — my na ich krzyki zważać nie mogąc i niechcąc, nazwiemy ich raczej owego Gniewosza nazwiskiem, pewni, że i dla nich przyjdzie chwila, w której swoje złośliwe przesądy, piśmiennie odszczekać będą musieli. My, patrząc się na postać naszej Jadwigi, widzimy ją jak zbawienną palmę, wyrosłą na grobie wielkiego plemienia królów naszych, a wyrosłą na to, aby jej serce nowe stworzyło plemie i dawnej świetności naszego kraju nowego swem poświęceniem dodało blasku i znaczenia. Oto na grobie Kazimierzowym żałobna wyrosła lilia, biała i święta; urokiem i życiem i krwią jej, to przeszłość piastowskiej potęgi; od sarkofagu ostatniego króla, idzie cichemi łzami narodu usłaną ścieżką do tronu, idzie bolejąca i rzewna i smutna — a, żeby tem większej znaczeniu swemu dodać powagi i świętości, idzie z rozdartem sercem dziewicy, zdolnej zazwyczaj do łez tylko i rozpaczy. Jadwiga wyższą jest nad zwykłe niewiasty. Jej bolejące serce, przeczuwając i odgadując tajemne uderzenia swoje, wzywające ją, aby jako lilia biała przeznaczenie narodu ukrasiła i ustaliła, to serce jej skrwawione żalem, zamiast łez i rozpaczy, zamiast zwątpienia i upadku, uzbraja się w szczyt potęgi ziemskiej miłości, uzbraja się silnym wiary i miłości Bożej puklerzem do czynu, mającego nad grobami Piastów zapalić gwiazdę świetności nowego królów plemienia! uzbraja się w poświęcenie bez granic, odróżniające ją od reszty śmiertelnic ziemskich.

Taką my widzimy Jadwigę, i wedle tego widzenia rzeczy żywot jej podajemy naszym czytelniczkom, pewni, że i one na tę wielką naszą królowę tak samo, jak i my patrzeć zwykły. Bo i jakżeż nie wzruszyć serca swego obrazem tej młodziuchnej, tak serdecznie kochającej nasz naród pani, gdy drogę jej życia poznając, nietyle świetności i rozkoszy, ile zgryzót i boleści dostrzedz na niej musimy! I zaprawdę, pokazuje się znów, iż każdy, kto poświęceniem swem przyszłość narodowi gotuje, każdy taki stawa dobrowolnie pod krzyż, i całą wędrówkę swego życia dźwiga przykładem dla tych wszystkich, dla których się poświęca. Jadwiga krótką swego życia podróż z krzyżem i pod krzyżem przebiegła. Dowiodła ona i tu tej prawdy, że Polska wielkich dokonywując zadań, i ważne spełniając posłannictwo, o krzyżu zapominać nie może. Ona, ta przedstawicielka najszlachetniejszych uczuć narodu polskiego, dowiodła bolesnym żywotem swym, że krzyż jest bratem poświęcenia. Uznaniem wyższości duszy i natchnienia, nagrodą uczuć i walki jest krzyż! Pod nim stała też nasza piękna królowa, i pod nim bolejąca na całą naszą miłość zasługuje. Nie wyobrażamy sobie słów, tej błogosławionej Polce poświęconych, któreby natchnione nie były najgorętszą dla niej miłością i czcią.

A przyznawszy się do stanowiska, z którego na tę naszą błogosławioną królowę patrzymy, przystępujemy do przebiegu jej żywota z uwzględnieniem wszystkich dziejowych okoliczności, jej historycznemu wystąpieniu towarzyszących.

I.

W Polsce bezkrólewie po śmierci Ludwika. Narodu usposobienie burzliwe i niespokojne. Z jednej strony ubiegający się o koronę ostatni Piast, mazowiecki książę, Ziemowit; z drugiej niecierpliwość, oczekiwania wyznaczonej na tron polski córki Ludwikowej, jako też walki Grzymalitów i Nałęczów w Wielkopolsce — rozdzielają naród na obozy wzajem nieprzyjazne sobie, i wojnę domową zapalają. Przyjrzyjmy się jakie dziejowe pobudki ten rozstrojony stan w Polsce spowodowały, to jest, przyjrzyjmy się pretensyom Ziemowita, przyczynie oczekiwania córy węgierskiego króla i sporowi wielkopolskiemu. Z naszego przygotowania i z nakreślenia w ten sposób obrazu usposobień narodowych wypłynie ta łatwość i wygoda dla nas, iż... mając oczy otwartsze na naród i tron jego osierocony, snadniej i jaśniej ujrzymy, przez co też z większą czcią będziemy mogli

posadzić na nim tę piękną i dobrą panią, którąśmy sobie za przedmiot naszego opowiadania obrali.

Podział Polski przez Bolesława Krzywoustego dokonany, rozdrobniwszy kraj na wiele małych cząstek, dał początek i mazowieckiemu księstwu, którego władzca Ziemowit, z tronowej pochodzący dynastyi Piastów, mógł być jedynym po śmierci Kazimierza Wielkiego, jako Piast, sukcesyjnym pretendentem do korony polskiej. Z pretensyami swemi dobijał się też, posiadający rzeczywiste prawo do tronu Ziemowit kilkakrotnie o koronę, a mianowicie „o śmiertelnej chorobie i wnet potym o samej śmierci króla Kazimierza, upewnionym będąc od syna swego Jana, którego był dla tej samej przyczyny do dworu królewskiego wszrubował, natychmiast Płocko, Rawę, Wyszogród, Gostynin i Sochaczew, zamki, pod władzę swoją odebrał, gdyż je dobrowolnie mu poddawali starostowie“ [1]), częścią przyznając mu sami prawo do ich posiadania częścią datkami przekupieni. Gdy atoli naród polski, wolę Kazimierza wielkiego zachowujący, wiedział że Ludwik [2]) król węgierski sukcesorem królestwa polskiego“ był obrany, na nic się przeto zabiegi prawego sukcesora Piasta, księcia Ziemowita nie przydały, i skończyło się wszystko na opanowaniu kilka zamków wyżej wspomnianych. Nie przestał jednakże Ziemowit tworzyć i zwiększać sobie stronników w tej słusznej do tronu pretensyi, i dla tego po śmierci Ludwikowej widzimy go znowu na czele partyi walczącej o prawo do tronu, i stanowiącej jeden z wspomnianych wyżej obozów, niezgodą i domową wojną Polskę, osierociałą z królów, nękających. I oto przyczyna jednego tj. Ziemowitowego stronnictwa, występującego czynnie podczas bezkrólewia po Ludwiku. Drugą partyą był, rzec by można, naród cały, tj. partyą oczekującą przybycia z Węgier córy nieboszczyka króla. Do tego zaś oczekiwania te usposobiły go pobudki: „Mając król Ludwik z Elżbietą, Stefana bośneńskiego „królika, córką a żoną swoją, dwie dziewce i też dwoje „królestwa, wzięła go chęć jakoby za żywota swego „obiedwie córce mógł dobrze udać, dopinając aby z nich „jedna Polakom, a druga Węgrom panować mogła. Ja„koż u Węgrów już jednej obstalowywał państwo, o „drugą zaś frasowliwemu, snadź szczęście, czyli też „przemyślna rada, taką drogę podała. Wymagał on na „Polakach podatek, co poradlem albo łanowem zowią, „dwanaście groszy czeskich i po korcu żyta, także też „owsa z każdego łanu jako dawno płacono. Nie po„zwalali nań panowie obojga stanu, ukazując, że Ka„zimierz z łaski swej szczodrobliwy wszystką Polskę „od podatku tego wolną uczynił. Ale gdy on przestrze„żony od niektórych ukazał to, że wolność onę obiecał „tylko był, ale nie utwierdził Kazimierz, a przerzeczo„ne poradle aż do śmierci jego płacono, dopiero zamy„sły swe przez posły do tego przywiódł, upewniając, iż „jeźliby Polacy królować dziewce jego której pozwolili, „tedy dwa tylko grosza od onego czasu co rok z łanu „wypłacać mieli, aby tak tylko ich posłuszeństwo „zwierzchności królewskiej poddane oświadczało się, od „inszych zasię powinności, od ciężarów i od podatków „wszelkich na króle i książęta za dawna przychodzą„cych, aby wszystka szlachta i ich poddani wiecznie „wolnemi zostali...“ — i coraz liczniejszemi od Ludwika na swoją stronę przyciągani przywilejami, przyrzekli mu jednę z jego córek obrać sobie za królowę.

Trzeciem niejako stronnictwem, trzecim obozem rozdzielonej wewnętrznie Polski była frakcya wielkopolska, początek swój od Domarata Grzymały biorąca, ztąd frakcyą Grzymalitów zwana. Na Grzymałów w Wielkopolsce od dawna najznakomitsze spadały godności tak świeckie, jak też duchowne. Ta okoliczność, jako też i to, że w rodzie ich germanizm dziwną umiał dla siebie pozyskać względność, spowodowała w całej Wielkopolsce niechęć i odrazę do ich rodu, z którego nie odpadł i Domarat starosta i pan możny i germańczyk, jak wszyscy Grzymalici. Niczem u niego była instytucya lub nowość, któraby nie przechodziła z żywiołu germańskiego. Jakkolwiek zaś cała niemal Wielkopolska zawistnie na jego wzrost patrzyła, byli w niej jednak szczegółowsi nieprzyjaciele, do ogólnej niechęci osobistą ku niemu zazdrość dodający, a tymi byli wielkopolscy Nałęcze, czepiający się dla tego tylko stronnictwa Grzymalitom przeciwnego, aby w nieprzyjacielskim przeciw nim stanąć obozie.

Lecz nie nasza rzecz przechodzić tu poszczegółowo wszystkie a rozliczne waśnie i rosterki tych dwóch nienawistnych sobie herbów — o nich tu o tyle tylko spominamy, o ile ta ich rodowo-herbowa waśń stoi w związku z bezkrólewiem po Ludwiku, i z usposobieniem narodu, oczekującym królewny węgierskiej. Owóż Grzymalici, żywiołem giermańskim przesiąkli, a mianowicie ich naczelnik Domarat, opierali się usilnie przy Zygmuncie margrabiu niemieckim, przeznaczonym na męża Maryi, starszej córce Ludwika. Upór ten ich sprzeciwiał się najprzód woli nieboszczyka króla, stanowiącej aby korona węgierska oddzieloną była od polskiej, a czegoby Marya jako królowa węgierska, zrobić nie mogła; i sprzeciwiał się nadto woli narodu, mianowicie Małopolski i Nałęczów w Wielkopolsce. I otóż są trzy główne bezkrólewia polskiego obozy, waśniące naród wewnętrznie, i ociągające to jego wielkie szczęście, jakie mu Jadwiga zgotować miała. Stronnictwa te atoli nie trwały tak długo, ani też tak silnych nie wywarły wpływów, aby z nich krajowi wielkie niekorzyści urosły. Owszem przeciwnie, lubo następna okoliczność ostatecznego niezadała im ciosu, zachwiała je jednakże tak silnie, iż koniec ich musiał być bliskim. Okolicznością tą była: Konfederacya braterska w Radomsku zawiązana, nazwana od pory swojego zawiązku *kapturem*, której to konfederacyi głównym punktem było: „dotrzymanie wierności i posłuszeństwa córce śp. Ludwika, tej mianowicie, która nam jako prawa dziedziczka daną będzie *do zamieszkania w Królestwie*.“ Ustawa tej konfederacyi, miłe sprawiając wrażenie w sercu Elżbiety, wdowy po Ludwiku, położyła wielką i trudną do usunięcia zaporę wszystkim i tak dotąd niefortunnym zabiegom spomnianych wyżej partyj bezkrólewia w Polsce. Ustawa ta, rozdzielone społeczeństwo i wojną domową rozerwane Królestwo polskie zbliżała do świętej i pożądanej zgody, zapowiadając w myśl całego narodu zbliżenie tej upragnionej chwili, w której osierociały tron polski wolą całego kraju obrana królowa zasiędzie.

(C. d. n.)

---

[1]) Kromer.
[2]) Tenże.

SEN O RÓŻY.

Uschnięta róża na listek podarty
Schyliła główkę; i listek i ona —
Jak dwoje młodych, co z miłości skona,
W ramiona sobie jako w grób otwarty
Padłszy — leżały; a mnie smutno było
Pochylonemu nad kwiatów mogiłą,

I rozstroiła mi nerwy sielanka,
I żałowałem, że jednego ranka...
Zerwaniem... taką śmierć róży zadałem,
I patrząc w różę, wilgoć w oczach miałem.
Łzy spadły na nią — jako spadające
Liście jesienią — dwie, duże, gorące...
Niewiem, czy we łzach były wskrzeszne słowa,
Czy tak spłynęły, jak rosa majowa
Na piersi róży? ale róża zmięta
Drgnęła pod łzami jak ze snu ocknięta,
I mnie się zdało, że to ciche drgnienie.
Wśród mych łez, było, jak płacz i westchnienie.

A noc już była, gdym tak patrzył w różę...
Gwiazdy chodziły ciemnem niebem w górze...
Gwiazdy — ja lubię gwiazdy w ciszę nocną,
I zapatrzony w nie... usnąłem mocno.
I śniło mi się, że z pościeli białej
Papieru... zeschłe róży listki wstały
W kształtach kobiecych: smutne miała lice,
I siadła przy mnie, w ucho tajemnice
Szepcąc mi swoje, grożąc ręką białą...
I zimno grobów od niewiasty wiało.
„Słuchaj, mówiła, dawniej w każde rano,
Gdym się ocknęła z snu — kwiatów tysiące
Ze czcią przedemną zginało kolano,
Bo się kochały we mnie, lecz mnie słońce
Kochankiem było: gdy miał wschodzić rano,
Jam się budziła wczas, by nieubraną
Niepocałował promieniem gorącem,
Z wstydu, z miłości płonęłam przed słońcem,
Kiedy przez drzewa ogrodu się skradał,
I drżący szczęściem „dzień dobry“ mi gadał.
I była wtedy dla mnie radość, wiosna,
A gdy odchodził — ja byłam zazdrosna,
A rosa nocna, moja siostra cicha,
Pociechę lała do mego kielicha.
I ty, podmówion przez jaźminy białe;
Przyszedł i podarł moje szczęście całe,
Więc mściwa za to, na obelgę czuła,
Rzucę twe serce pod nogi kobiecie,
Co będzie piękna, jako róża w lecie,
Ale jak róża będzie ciebie kłóła.“

Tu się zbudziłem: — za oknem w ogrodzie
Moja panienka latała po chłodzie,
Zrywając kwiatki i nucąc półgłosem.
Oj zgadłaś różo, mruczałem pod nosem,
Że ta różyczka ma i cierni dużo;
Lecz, co tam ciernie, gdy mi dobrze z różą!

M. B.

KSIĄDZ MAREK.

(JULIUSZA SŁOWACKIEGO).

Trzech wielkich mistrzów słowa miała porozbiorowa Polska: Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Wśród największych boleści objawił się przez nich najwyższy nastrój jej duszy; na tych trzech strunach wygrał naród cały poemat swego życia z lat ostatnich.

Mickiewicz „Panem Tadeuszem“ pożegnał starą szlachecką Polskę z całym zasobem jej cnót, wad, zasług i grzechów; pożegnał ją śmiercią Robaka i ostatnim polonezem, a w „Dziadach“ z upiorem Konradem wyprowadza na scenę nowe pokolenie, wyrosłe na grobach, wykarmione boleścią, bluźniące i modlące się na przemiany, i pokolenie to częścią kona w wileńskich kazamatach, częścią ginie w tumanach dróg syberyjskich.

To uwertura tych krwawych dziejów, które z taką siłą i fantazyą rozwinął Słowacki począwszy je „Kordyanem.“

Słowacki to *serce* ludu szamocącego kajdanami, cierpiącego jak żaden inny. Przy każdem drgnieniu narodu stoją jego pieśni to jak szalone płaczki, to jak wieszczki, to jak anioły pociechy, i każde uczucie narodu— od bluźnierczego śmiechu do modlitwy podniosłej, od rozpaczy do nadziei— odbiło się w jego pieśniach. Są chwile, w których Słowacki jak wielki duch zniszczenia, jak burza rzuca się; ale ostatnią przyczyną tego szamotania się był zawsze ból narodu i ludzkości, było głębokie poczucie prawdy i sprawiedliwości, której gwałt zadawano. Ten wielki duch-rewolucyonista dlatego miał tak ciężką walkę a tak mało sławy, że chciał więcej niż inni ludzie. Szczególniej ostatnie chwile poety cechuje ogromny nastrój boleści; ale zarazem i siła prorocza i moc jasnowidzenia. W ostatnich poematach jego: „Ksiądz Marek“, „Król-duch“, „Do autora psalmów“ itd. widno całą przyszłość naszą. Patrzymy co dzień na spełnienie się jego myśli i wyznać musimy: *że on jeden był prorokiem narodu*, że w jego tylko pieśniach spi przyszłość nasza, i rzucił nam ją jak testament w sfinksowych poematach, a im bliżej spełnienia, tem sfinks zrozumialszy.

Wytłumaczę się z tej myśli jaśniej w rozbiorze „księdza Marka“ — tu zaś jeszcze dodam, że Słowacki jest na wskróś poetą obecnej i przyszłej Polski: Dla tych chwil wyparł się przeszłości i nieumie myśleć w przeszłości i z przeszłością. „Kocham lud (mówi sam) więcej niż umarłych kości.“ I ten kierunek ducha poety napotykamy w każdym prawie jego utworze. Patrząc np. na ostatnią rozpaczną walkę konających Wenedów (w „Lilli Wenedzie“) koniecznie czuć musimy wśród tych zapadłych czasów pogańskich, które Słowacki dziwnie dobrze rozumiał, oddech nasz, wielkie sceny naszych boleści. Czyż najezdniczy Lech z okrutną carycą Gwinoną, rozwściekloną na *harfę* zaczarowaną Wenedów, nie stawia nam w myśli podobnego obrazu jeno z innem nazwiskiem? — Albo patrzmy, znowu inny obraz: stary, ślepy Derwid, król Wenedów, mistrz słowa, wisi siwemi włosami uczepiony do drzewa, Lech daje topór w rękę jego syna i mówi odetnij starca od drzewa a ocalisz siebie, a w myśli dodał: zabije go. To nie Tela strzał, w jęku upadającego na ziemię Derwida ja słyszę inny jęk, boleśniejszy, bo bliższy. *Bezwiednie* poeta przepowiedział chwilę, nad którą zapłakały potem psalmy Jeremiego. Więc tym postaciom dawnej przeszłości każe poeta żyć, cierpieć, spodziewać się i myśleć z nami i tylko z nami, i „z ciszy wiekowej wydobywa chóry prorockie.“ Nawet ten zarzut, że Słowacki w wielu

utworach był naśladowniczym, upada przed tą jego czarodziejską siłą przypodabniania wszystkiego i przetwarzania na soki rodzime. Tak się ma z „Dantyszkiem“, „Lambrem.“ Forma, to szata tylko, mówi sam w przedmowie do „Lambra;“ ale jeżli w tej szacie będzie tętniła myśl żywa, narodowa — to poemat będzie narodowym.

Niewiem, czy to życie poety *w obecnej chwili*, brak mocy zaprzania się siebie i swojego czasu, jest wadą czy zasługą jego? Jako artysta grzeszy Słowacki często; ale jako wieszcz narodu stanął wysoko tym grzechem, tym nieartyzmem, stanął wysoko, że współdziałał i współcierpiał z narodem. — Mickiewicz niegrzeszy nigdy jako artysta, ale gdy powiedział: „Samotność! — cóż po ludziach? *czem śpiewak dla ludzi?*“ — zgrzeszył jako Polak, jako człowiek.

Takimi byli Mickiewicz i Słowacki. A obok tych dwóch staje ponura „dantejska chmura“, autor „Nieboskiej,“ „Irydiona“ i „Psalmów przyszłości.“ Urodzeniem i zapatrywaniem się należy do części narodu, która dziwnym sposobem umiała ożenić herbowe tradycye i katolicyzm z kosmopolityzmem. Myśl poety, przykuta do starej Romy, od czasu do czasu robi eteryczne wycieczki do ziemi mogił i krzyżów, więc niedziw, że z tych odległych komunikacyj ducha narodziła się w pieśniach poety przyszłość mglista, tęczowa, niewyraźna, bez twarzy ludzkiej, i tej przyszłości Krasiński nieprzeczuł, niewymodlił, niewywalczył, jeno wyrozumował. Wyrozumował sobie zbawienie analogią obecnej chwili z upadkiem starego Rzymu, koniecznem następstwem dziejowem, i spokojnie czeka na tę przyszłość. W tym spokoju jest dużo flegmy dyplomatycznej, dużo grzechu narodowego; ale jako poeta, szczególniej, gdy „dawne posągowe Rzymian postacie napełnia wulkaniczną duszą wieku naszego,“ jest Krasiński kolosalny, a jako wyraz jednej części narodu (lubo małej, lubo ciemnej) jest dopełnieniem tamtych poetów.

To kruciuchne zestawienie trzech poetów zdawało mi się koniecznem, nim zacznę rozbiór „księdza Marka.“ Wykazałem, czem był i jakim był Słowacki w obec Mickiewicza i Krasińskiego, a teraz spytam: czemu niepamięć ludzka strąciła z piedestalu na czas długi poetę i proroka, strąciła go do rzeszy reszty poetów? — Wyrok krytyków petersburgskich i poznańskich potępił go w obec opinii publicznej przy samem świtaniu i pierwszych przebłyskach gieniusza, poszarpał sławę poety niemogąc go zrozumieć i nie siląc się na zrozumienie go. Współcześni mało go znali; z katedry literatury słowiańskiej raz tylko nawiasowo wspomniano imie wieszcza. Umarł nieotoczony czcią mu należną, za skromną trumną garsteczka znajomych postępowała, ani jednem nabożeństwem nieuczcił naród pamięci wieszcza, na lichy pomnik (w kościele śtej Anny w Krakowie) nie naród się zdobył, ale serce matki. Nie sam żal, ale oburzenie czułbym przy tych słowach, gdybym niemiał silnej wiary w zwycięztwo poety za grobem; inaczej nie umiałbym sobie wytłómaczyć niewdzięczności dla poety, co nas zasypał utworami swemi [1]).

[1]) Wydane dotąd pisma Słowackiego, obejmują poemata większe: *Mnich, Hugo, Jan Bielecki, Żmija, Lambro, Anhelli, Ojciec zadżumionych, W Szwajcaryi, Wacław, Dantyszek, Beniowski, Król-duch, Do autora psalmów.* Dramata: *Mindowe, Marya Sztuart, Balladyna, Lilla Weneda, Mazepa, Ksiądz Marek, Sen Srebrny Salomei, Książę Niezłomny* (tłómaczenie z Kalderona) — i wiersze różne bądź wydane osobno, bądź drukowane w „Dzienniku literackim“, gdzie także umieszczono większy poemat jego: *Makrynę Mieczysławską*, i ustępy z poematu: *Poeta i natchnienie.* Ostatnie wydanie Brockhausa mniej poprawne, ale dla taniości dostępne.

Drugie tyle prac tego poety spoczywa w rękopiśmie.

Pominąwszy niejasność poety, obojętność Adama, był jeszcze inny powód zatracenia pamięci poety. Słowacki, jak powiedziałem, jest poetą obecnej i przyszłej chwili, jest prorokiem młodej Polski, i stworzył ją w piersiach swoich demokratyczną, Chrystusową, a zdzierał tradycyjne szaty z ludzi, co w nie kryli własne grzechy i słabostki, i przez Eumenidowe rózgi przepędzał każdy grzech taki; więc ci, co w starych trumien popiele bezczynnie a z chwałą spać chcieli, zabili w sobie i w innych pamięć poety, by im snu niemęcił. Ale niedobitki starych przesądów schodzą ze sceny, a myśl poety rozwija chorągiew i wiedzie lud:

Przyszłość moja,
I moje będzie za grobem zwycięztwo...

Mówi, żegnając Mickiewicza. I tak się stało. Teraz Słowacki stał się słowem obecnej chwili, potrzebą dusz. Dzieła jego z każdym dniem się rozpowszechniają, a pojedyncze rozbiory tych dzieł objaśniające czytelników i przewodniczące im w wędrówce po przepaścistych głębiach ducha poety, stają się z każdym dniem potrzebniejsze, i dla tej przyczyny my cząsteczkę tej pracy podejmujemy.

Są, którzy utrzymują, że wieszczowie nasi nadto święci, nadto wysoko stanęli, by można się ośmielać zbliżać do nich z krytycznym nożem i dotykać ich arcydzieł; ja zaś myślę, że tylko fałszywe świętości boją się badań ludzkich i głębszego wzroku: a wielkie rzeczy mają to w sobie, że obejrzane z każdej strony nietracą, ale owszem zyskują na wartości i potęgują się przed nami. Myślę, że niezbezcześci arcydzieła ten, co długiem patrzeniem wmodli się, wgłębi w myśl poety i opowie ją potem tym, co z dala i przelotnie nań patrzyli. I to jest różnica krytyki dawnej, od nowej. Dawniej gromy potępienia lub łaski rzucały areopagi krytyków, i wiedli opinię, podczas, gdy dziś krytycy są tylko przewodnikami ze świecą w ręku; ale nigdy sędziami.

Kilka uwag, postrzeżeń, myśli nabytych, długiem a pilnem wczytaniem się w tego poetę, spieszę i ja udzielić łaskawym czytelniczkom, a mianowicie rozbierzemy tu pokrótce dramat: „Ksiądz Marek.“ Dlatego zaś wybrałem Ks. Marka, że ten dramat może najwięcej dostarczy nam wyjaśnień do tego, cośmy powiedzieli o Słowackim, jako o poecie obecnej i przyszłej chwili. Tu bowiem stawiając przed nami obraz rozpadającej się starej Polski, zawiązuje symbolicznie przyszłość. Głęboko pomyślany i mistrzowsko rozprowadzony jest ten dramat, i trudno nam zgodzić się na zdanie pewnego pisarza, który mówi: że, połyskując poetycznemi barwami niema przyszłości dramatycznej, że fikcya wzięta z krainy cudów, a charaktery rozpływają się w powodzi poetycznych barw; chyba, że krytyk każdą potęgę ducha, nieskalaną ziemskim brudem, cudem nazywa, i cudu takiego boi się w dramacie. Niemożna ważyć dramatów Słowackiego na szali Szekspirowskiej; ale Polak na tę niedostateczność niepowinien się użalać.

Jednak dość ogólników, przejdźmy do samego dramatu. *(C. d. n.)*

WOLNOŚĆ CZY SZLACHETNOŚĆ?

(Wspomnienie z niewoli wojskowej);

przez

J. Dra RYMARKIEWICZA.

Na dębowej kłodzie, przed żydowską karczmą, leży podchorąży ranny. Przy nim żołnierz na straży, — nad

nim, jak źrenica Opatrzności, błyszczące słońce wrześniowe. Powietrze jesienne, chłodne jak świat, obwiewa jego ciało; a promienie słońca, jak przyjaźni współczucie, jak nadziei podnieta, przeciskają się do duszy i szepcą jej tajemnie: do wiosny!

W karczmie gwar, jęki, złorzeczenia, pisk bachorów, kommenda załogi wojskowej, krzyki arendarki i wyciągane pacierze arendarza. Ranna i znużona trudem wojennym wiara, póki miejsca stało, pokotem zaległa izbę, reszta po kątach karczmy ciśnie się jak śledzie. Zaduch z tytoniu, z dymu, z rozlanego piwa i wódki, sprawiał tam powietrze — jak przed bramami piekła — ciężkie, gęste, i dowodził dotykalnie, że ciężko i przykro oddychać w niewoli! Tam i podchorąży ranny, na wąskiej ławie szynkarskiej, przepędził pierwszą noc w niewoli. Nad ranem, niedziw że zasłabł, i że go wynieść musiano przed karczmę.

Zrazu leżał tu bez przytomności, i czuł tylko słońce jak mu powieki zawarte drażniło; i słyszał tylko, że... jak upust wstrzymywany, buchał ku niemu raz po raz gwar z otwieranej izby kaczmarskiej. I wnet w głowie jego zrobiło się jak w karczmie. Wszystkie wczorajsze wrażenia z placu bitwy *), wszystkie marzenia i widziadła w bezsennej nocy, wszystkie obrazy i myśli z pierwszych chwil niewoli, wszystko zawrzało w nim razem, wszystko poplątane i pokrzyżowane migało i ścigało się po jego pamięci, aż się cały ogrom krajowego nieszczęścia do serca zwalił, i wytłoczył z oczu łez dwoje: żalu jednę, a mściwej niemocy drugą. A promienie słoneczne wraz pochwyciły te duszy okruchy, i wytkły dla nich szlak błyszczący do nieba: do Ojca, który kroplami łez wszelką krzywdę mierzy!

Spojrzał podchorąży przed się, aż tu półkole widzów, jak Argus stuoczny, wlepiło weń oczy, jakby wyśledzić chciało tajną jego duszy rozmowę. Byli to mieszkańcy miasteczka **), co się wczoraj w moc nieprzyjaciół dostało: mięszanina dziwaczna wiar, narodowości i wieku. Każdy tam inne robił uwagi, a najgłośniejsze i najobelżywsze robił żywioł żydowski, który znacznie nad inne przeważał.

Odwrócił podchorąży niechętne oko, i rzucił niem po ścianach kulami pokaleczonych mizernego rynku, którego najwspanialszą budową była właśnie karczma żydowska.

W tem z jednego rogu dziewczyna jakaś wybiega i dąży skwapliwie do widzów półkola. Przedarłszy się przez ściśnięte szeregi, ciekawy wzrok utopiła w jeńcu; krzyknęła, zapłakała, i spiesznie odbiegła drogą, którą dopiero co przyszła. Cierpiący jeniec, zdarzeniem tem do ostatka zrażony, niechciał być nadal przedmiotem natrętctwa i ciekawości gawiedzi, i kazał się odnieść napowrót do karczmy.

Niedługo odpoczywał przy drzwiach na ławie, kiedy podoficer od komendy drzwi otworzywszy: „Panie kadecie!“ — zawołał i wskazał na dwie zapłakane kobiety w sieni, niemogące i słowa wymówić od płaczu. Osłupiał niewolnik na tak rzewny widok, i ze ściśnionem sercem stał niemy przed płaczącemi rodaczkami. Aż w końcu ze łkaniem przemówiła starsza słowo, co chwila łez potokiem przerywane: „Daruj pan, doniesiono mi, że to syn mój! o bo też pan bardzo jemu podobien! daruj — pozwól, może syn mój w gorszem jeszcze położeniu — dozwól, niech uczynię dla ciebie, co matka twoja — może w tej samej chwili czyni dla syna mego!. . . . i taki zdjął ją płacz gwałtowny, i tak z nią rzewnie zapłakała córka, że podoficer zniecierpliwiony, a może i rozczulony, zatrzasnął gwałtownie drzwi i współczujących rozłączył.

* * *

Koło południa kosz z bielizną i z jadłem stawiają do nóg podchorążemu; wieczorem pościel i słomę do więzienia wnoszą. Domyślił się podchorąży od kogo te dary pochodzą, i po bratersku między wspólników niedoli rozdzielił. Wiara ucieszona, że strawą chrześciańską przynajmniej okrasić mogła plugawe jadło żydowskie, które z nakazu w brudnych naczyniach brudniejsze jeszcze znosiły żydzięta, dopytywała się u straży: zkąd ta łaska na nieszczęsnych jeńców; a żołnierze: „wszystko od pani“, odpowiadają łagodnie.

* * *

Otóż i jeden dzień niewoli, — pomyślił jeniec, udając się na spoczynek, dzień jasny, jaśniejszy przynajmniej od posępnych marzeń i widziadeł, co go przeszłej nocy bezsennej tak okrutnie dręczyły — i zasnął, zasnął ukołysany współczuciem rodaczki, a sny jego zapewne około aniołów pocieszycieli krążyły.

* * *

Na drugi dzień niewolnik już się czuł rzeźwiejszym. Już rana, świeżą szarpią zasłana, i świeżą bielizną odziana, mniej dolegała; już niewola mniej się zdawała okrutną, po głowie ciągle się kręcił wiersz: Święta miłości kochanej . . . . . i ciągle się kończył słowami: nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać!

Mijał dzień za dniem, próba cierpliwości następowała jedna po drugiej, a ranny, choć zwolna, odzyskiwał widocznie siły ciała i duszy. Z niezmordowaną wytrwałością, z podziwienia godną punktualnością dostawiała szlachetna opiekunka datki swoje i zasiłki do karczmy. Wywiadywała się szczegółowo o potrzeby i o powodzenie jeńców, a kiedy jak cień opiekuńczy przemkła się czasem z córką przed oknem więzienia, to taki jakiś gwar między wiarą powstawał — jak kiedy dzwonek w kościele na podniesienie uderzy!

Tak jednostajnym torem upływały dni i tygodnie. W niewoli, im dłużej tem bardziej, czuje się duszy więzienie. Jak kłębek zwinięta w sobie pamięć, choć ją rozwiniesz i wzdłuż jak najbardziej rozciągniesz, to już jedna tylko zostaje ci praca — praca zwinięcia jej znowu w dawny kłębek. I tak bezustannie te same myśli, te same uczucia z kłębka ciągle przewijając w kłębek, trudem Sysyfa bezustannie się trudzisz, a pragnieniem Tantala nieustannie się dręczysz.

Aż przecież w rocznikach jeńca zaszło wielkie zdarzenie. Podoficer oddał mu list od opiekunki jeńców tamecznych. W kilku wyrazach treść listu była następująca: opiekunka wymogła na podoficerze, najwyższym naówczas komendancie załogi, że pozwolił podchorążemu pójść do niej na obiad, i ręczyła za niego, że nie uciecze. „Poczciwa kobieta! zawołało kilku kolegów, i wcwał poczęli czyścić to surdut, to czapkę podchorążemu, to chustkę poprawiać na szyi i pierze z głowy zdmuchiwać; bo już na pogotowiu stała straż, pod której okiem miał się udać do opiekunki na obiad.

Pierwszy raz ujrzał się znowu niewolnik na ulicy miasteczka. Domy jedne podruzgotane i popuszczane, drugie były kulami armatniemi i karabinowemi różnej wielkości, jak mozajką, ponasadzane. Lud wiejski tu i owdzie snuł się po ulicach, i... zatrzymując się na widok jeńca, czasami łzy ronił. To znów błogie uczu-

*) Pod Kluczkowicami, blisko Opola.
**) Opole.

cie pierwszego wyjścia z więzienia, i odetchnienia powietrzem wolniejszem, to wdzięczność nieograniczona, która się dla opiekunki odzywała — wszystko to, z kolei się nasuwając, wprawiało duszę jego w jakiś dziwny stan marzenia, z którego bolesne tylko budziły go kroki stąpającego za nim stróża: żołnierza.

* * *

Pod wpływem okoliczności jakie zachodziły zgadnąć łatwo, że obiad cały zejść musiał prawie w milczeniu. Gdzie serce przepełnione, tam usta słów skąpią. Po obiedzie żywsza nieco wszczęła się rozmowa: to o stosunkach rodzin; to o losie niepewnym syna; to o wrażeniach z ostatniej bitwy, którą tuż pod miasteczkiem stoczono; to o przykrościach niewoli, i już już się był język rozwiązał, i serce już się do wynurzań skłaniało, kiedy czas wyznaczony upłynął, a przezorna gospodyni ostrzegła sama, że ani na chwilę dziś nadużyć nienależy ufności komendanta, jeśli ma nadal posłużyć. „Lepiej, rzekła, znieść chwilę przykrości, niż całe dni potem czynić sobie zarzuty.“ — Liczyła ona z pewnością na to, że przed wymarszem uda się choć raz jeszcze na komendancie zdobyć podobną chwilę pociechy! W tem straż przydana już także natrętnie o swą ofiarę się upomniała, i podchorąży, po krótkiem pożegnaniu, wyszedł z domu opiekunki, jak z raju wygnany!

* * *

Wyszedł i ujrzał się na wzgórzu, z którego droga wiodła do karczmy — w niewolę! Tu nasunęły się przed oczy ducha jego wszystkie skarby pieszczot rodzinnych, wszystkie ponęty wolności i nadziei, i życzeń, — które mógł na raz osiągnąć, gdyby — gdyby teraz w cwał prysnął na bok i... zmyliwszy pogonie, dostał się do najbliższego jakiego domu, w którym z pewnością znalazłby pomoc i bezpieczny przytułek! A właśnie też zmrok, jak na zawołanie, co raz mocniej zapadał. Aż się w oczach zaiskrzyło jeńcowi, tak silnie uderzyła go ta myśl ponętna. Już, już z całą siłą uniesienia rzucał się w odmęt czarujących widziadeł, — kiedy poczuł naraz, że i dusza i nogi odmówiły posłuszeństwa, — i nagle musiał przystanąć, jakby się miał w posąg zamienić.

* * *

Jakaż to moc tajemna tak nagle go zmogła? Jakaż to potęga jego zapęd gwałtowny złamała? Nie wiedział jeszcze niewolnik; lecz już jak baranek potulny szedł drogą przeznaczenia — w niewolę! — Dopiero gdy do karczmy wrócił, gdy jak z nóg ścięty, na posłanie się rzucił, zaczęła się owa straszna duszy rozmowa, owa walka wewnętrzna, którą staczać z sobą musi człowiek, gdy go dwie myśli przeciwne jak anioł i szatan oblegną.

Już koledzy na dobre posnęli, wszystko się uciszyło i w karczmie i w mieście; północna nawet minęła godzina, a u podchorążego zgiełk myśli wrzał jeszcze na dobre, i daleko, daleko od powiek odganiał sen niecierpliwy. Aż nakoniec wysnuł się w duszy jego ostatni stanowczy monolog Hamleta: „Być albo niebyć?“ — „Wolnym czy szlachetnym?“ — otóż pytanie! — Więc *Wolność* naprzód przemówiła za sobą — i całym szeregiem ponęt i powodów duszę jeńca, jak huryska płomienna gdzieś w siódme niebo za sobą powiodła!... Potem jak miesiąc spokojny zajrzała do duszy *Szlachetność*, i głosem Uranii niebianki rzekła: „Chciałżebyś za wolnością goniąc, uszczęśliwiając własną, potrącić za sobą w przepaść tę rodzinę, co z takiem dla was jest poświęceniem? Chciałżebyś, uszczęśliwiając siebie, na straszliwe prześladowanie wystawić tę, która ufność pokłada w charakterze twoim, która za wytrwanie twoje w niewoli ręczyła! Chciałżebyś jej poświęcenie, tak wzniosłe, tak niewdzięcznie odpłacić dla samolubstwa? I któraż to cnota większa nad szlachetność, nad poświęcenie samego siebie? Czyż przedewszystkiem nienależy się być szlachetnym: nietylko na wolności, ale i w niewoli? Cóż po wolności, jeśli samolubstwem, prywatą, osobistemi widoki skalana? I czemże, jeśli nie szlachetnością, zdołamy uzacnić nieszczęście? Czyń jak ci się zdaje. Wszakże jutro nowa zdarzyć się może do wyboru sposobność; — ale, jeśli w takich zostając okolicznościach, obierzesz wolność, już ja w duszy twojej nie postanę nigdy!

Skarlała na ten głos — tak ogromna niedawno, wolności ponęta, a w pamięci niewolnika wyryły się na wieki słowa: *Przed wolnością winna iść zawsze szlachetność!* I przysiągł szlachetności na wieki być wiernym jeniec, i stokroć większe zniósłby udręczenia i katusze w niewoli, byleby się nigdy z szlachetnością nie rozstać.

* * *

Nazajutrz uderzono w bęben na wymarsz, a podchorążemu, choć głos ten odrywał go od najprzyjemniejszych chwil w życiu, przecież się zdało, że to głos tryumfu, który w duszy jego nad samolubstwem odniosła tak stanowczo szlachetność!

I ślady stóp jego zawiały śniegi — i ślady myśli jego zatarły zdarzenia; — ale pamięć z niewoli wyciągła za sobą nić tajną aż do obecnego miejsca jego pobytu, za którą on chętnie trafiać lubi wstecz do owego miasteczka, i do owego domu opiekunki, dla której dotąd niewygasłą chowa wdzięczność!

Korespondencya.

Z nad Dniestru, w lutym 1862.

(Z Tańskich Hoffmanowa — Mody).

Czytając numer drugi *Niewiasty* z bieżącego roku, napadłam w nim na krótką wzmiankę o *Klementynie z Tańskich Hoffmanowej*, w artykule „Polki literatki“, i przyznam się szczerze, że ta krótka wzmianka zabolała mię, bo przyzwyczaiłam się stawiać tę autorkę po za obrębem licznych ale mniej zasłużonych autorek. Nie wątpię, że to uczucie podzieliły ze mną wszystkie czytelniczki *Niewiasty*, bo niema dla nas młodszych Polek imienia droższego po rodzicielskiem, nad imie Klementyny. Każdej prawie z nas jej pisma towarzyszyły od kolebki, na jej *Wiązaniu Helenki* zaczęła poznawać litery, w wieku dziecinnym bawiła się i uczyła zarazem na jej powieściach moralnych; w wieku młodzieńczym, panieńskim, jej rady uczyły ją obowiązków dla rodziny, zachęcały do pracy i nauki, a nadewszystko chroniły od bujnych marzeń: „o panu i książęciu z za gór“; słuchając jej pełnych prawdy i uczucia zasad, nie jedna z nas wybrała sobie potem godnego siebie młodzieńca i z nim stanęła u ołtarza. Ale nie tu koniec opiekuńczych starań śp. Klementyny, owszem tu się dopiero zaczyna najdobrotliwszy jej wpływ: bo dopomagający młodej mężatce i wtedy, kiedy jej matka z daleka tylko może patrzeć na swoje dziecię, błogosławić je i błagać Boga, aby ziarno, które zasiała, dobre wydało owoce; tu więc jeszcze powiadam, *Powinności dla kobiet* zacnej Hoffmanowej, przypominają młodej mężatce jak ma być: „sercu i oczom męża przyjemną“, jak ma rzą-

dzić domem, domownikami, jak ma rozłożyć swe zatrudnienia, a nareszcie jak ma się przyczyniać do oświaty ludu, jeśli Pan Bóg na wsi ją umieścił; jak ma wypełniać obowiązki prawej i kochającej ojczyznę obywatelki? Jeśli do tego Bóg pobłogosławił to małżeństwo dziećmi, ileż wtenczas wdzięczności przybywa w sercu matki dla Hoffmanowej, której rady oświecają ją i kierują w prowadzeniu i pielęgnowaniu tej tyle drogiej istoty. Ale Klementyna jeszcze i na tem nie przestaje, w kościele, nawet i przy pacierzu codziennym, towarzyszy ona każdej prawej Polce, jej słowami modli się za męża, dzieci, błaga o ojczyznę i śmierć szczęśliwą przy każdej mszy śtej, jej wyrazami błogosławi swym dzieciom — jednem słowem w każdej okoliczności, w każdem stanowisku jest ona niejako aniołem-stróżem polskich niewiast. Kto to wszystko oceni, nie zdziwi się bynajmniej, że my kobiety, tak bardzo kochamy Hoffmanową; każda z nas odczytując jej pisma, nawet dawno i dobrze znane, doświadcza uczucia słodkiego zadowolenia, bo z jej wyrazami wiąże się zawsze pamięć głosu matki, czytającej córce te karty, w czasach tej miłej młodości, za którą najszczęśliwszy człowiek nie może się wstrzymać od tęsknoty. Tak więc dla kobiety, której Bóg dał kochającą matkę, są te pisma uzupełnieniem, wspomnieniem rad macierzyńskich; dla tej zaś, która pozbawioną była tej naturalnej mistrzyni, stają się rady naszej autorki podwójnie drogiemi, bo zastępują niejako miejsce tak szanowne dla każdej córki.— Ale nie o pracach moralnych chciałam tu mówić, bo o tych obiecał nam autor artykułu później się rozpisać, chciałam tu raczej napisać kilka słów kobiecych o jej stanowisku jako powieściarki *ściśle narodowej*, o czem na jej pochwałę zamilczał zupełnie autor pomienionego artykułu, dodając tylko: że prostota u niej przechodzi czasem w afektacyą; co do tego, nie myślę się sprzeczać, bo może tak jest rzeczywiście, chodzi mi jedynie o to, że nie podniósł w niej tego, na czem niestety wielu autorkom zbywa, to jest jej stanowiska *narodowego*. I tak np. Sztyrmerowa pisze bez kwestyi powieści o wiele zawilsze, pełniejsze, fantastyczne; ale jej postacie można przenieść pod każde niebo, a niektóre najmniej pod niebo polskie, (biorę tu dla tego panią Sztyrmer, bo ona jest najzupełniejszym kontrastem Hoffmanowej). Pisma jak „Światło i Cienie“ itp. zaintrygują, zajmą; ale tych błogosławionych skutków, jak powieści naszej autorki, nigdy nie wywrą — cóż ztąd, że Sztyrmerowa ma talent męzki, mnie się właśnie zdaje, że to dla kobiety wcale niepotrzebne: w naszej ojczyznie wiele przez to złego było nietylko w literaturze, że za często kobiety mają rozum męzki, a mężczyźni niewieści — najlepiej gdy każda płeć idzie swoim torem. Ale wróćmy do Hoffmanowej, ona w swojej powieści jest prawdziwą Polką, jej postacie, charaktery, są to osoby, które znamy, kochamy i wielbimy. Któraż z nas niezapamięta w swej rodzinie takiej matrony, pięknej w starości, eleganckiej w całem słowa znaczeniu, czyli kochającej prawdziwe piękno, jaką jest pani Rawiczowa w *Krystynie?* dziś takich postaci już niema, były to zabytki salonowości francuskiej, która z magnackiego koła zepsucia zeszła do szlacheckich dworków, spotkała się tam z prawdziwą polską cnotą i utworzyła z nią istoty podobne do pani Sévigné, pełne wdzięku, cnoty i rozumu. A te córki pani Rawiczowej, czyż do przymiotów ich, a bardziej wad, każda z nas przyznać się nie może? ileż to między nami Zosi i Ludwik, szkoda tylko, że Krystyn mniej; ale i te się znajdą. A owa *Karolina*, czyż to nie prawdziwie piękna, polska dusza? szkoda tylko, że przy prześlicznym dzienniku z czasów Księstwa Warszawskiego, który zupełnie nas przenosi w owe czasy, są inne części, w których za wiele jest owej efektownej prostoty, jak w rozmowach poślubnych etc. może jednak było to potrzebne do charakteryzowania epoki, bo w innych pismach nie widać tego — nie wiem tylko dla czego autor „literatek“ wspomina, że Karolina jest tłómaczoną, nigdy tego nie słyszałam. Co się zaś tyczy *Dziennika Franciszki Krasińskiej*, to przyznają to wszyscy nieuprzedzeni do kobiecego pióra mężczyźni, że mało mamy tak dokładnych obrazów historycznych; co do mnie, wiem, że ten dziennik przenosił mię na przemian to w zamek maleszowski, to na salony Warszawy, a nawet do łez pobudził nad nieszczęśliwym losem tej niby na szczycie szczęścia stojącej piękności. Ile ten obraz jest nauczającym, niepotrzebuję mówić, bo każdy, co choć trochę zna skłonność niewieścią do bujania w siódmem niebie, łatwo go oceni. A owe przednie *listy Elżbiety Rzeczyckiej*, czyż nie malują nam doskonale edukacyi ówczesnych dziewcząt szlacheckich po klasztorach, ich późniejszej karyery jako panien dworskich, czyż tym sposobem nie wskazują nam te listy ówczesnego stopnia oświaty? Także nie wspomniał nic krytyk „Literatek“ o podróżach naszej autorki, a przecież warte są wzmianki, raz, że opisuje własny swój kraj z miłością, a drugi raz, że w obcym kraju staje się ona pożyteczną pszczołą, zbierającą wszelki pożytek z rzeczy widzianych dla Polski, do której wszystko dobre chciałaby niejako przenieść. Niema ona rozmaitości dowcipu pani Rautenstrauchowej; ale w każdem miejscu myśli tyle o Bogu, Polsce i jej córkach. Ale ponieważ już mówimy o podróży, nieraz myślałam, będąc w krakowskim kościele śtej Anny, czemu też dotąd nikomu nie wpadło na myśl wypełnienia życzeń śp. Klementyny, która, opisując ten kościół, marzyła, że w nim kiedyś mieć będzie kamień z napisem: „Matki i dzieci polskie, autorce Pamiątki po dobrej matce.“ O i zasłużyła ona na tę pamiątkę! jakże by to było pięknie, gdyby redakcya *Niewiasty* wystawiła za pomocą składek pomnik tej, która do wdzięczności Polek tyle ma praw i zasług. Nie sądzę, ażeby tych kilka słów miało godnie odpowiedzieć pamięci autorki, chciałam tylko niemi przypomnieć autorowi „Literatek“, że zrobił krzywdę Hoffmanowej, stawiając ją na równi ze Żmichowską; w miłości ojczyzny obie są jej prawe córki, i obie również dlań pracowały, choć w innym zakresie. Różne, wzniosłe, poetyczne są zasługi wielkich naszych pisarzy, nikt przecież nie ujmuje wielkich zasług Jachowiczowi!

(*Dok. nast.*)

Wiadomość literacka.

P. Wywiałkowski, bardzo dbały właściciel drukarni, wydał zapowiedzianego przez sie bie *Ruchu Literackiego* pierwszy zeszyt. O piśmie tem tyle powiemy, że nietylko pożytecznem, ale i potrzebnem stać się może, skoro dobrze obliczonemi siłami do celu jasnego dążąc, dozna poparcia ze strony Publiczności, zastanawiającej się nad ogólnym prądem naukowych usiłowań. Radzimy też najszczerzej Redakcyi, aby nie oglądając się na żadne powagi, jedynie sprawę ogółu wysoko ceniła.

Nabożeństwo żałobne.

W rocznicę śmierci śp. Juliusza Słowackiego, d. 3go kwietnia, ma się odbyć żałobne nabożeństwo za jego duszę, w tutejszym kościele śtej Anny.

K. J. Turowski. Redaktor odpowiedzialny. —Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. Antoni Rother.